

Zamyślenia



Jest tylko jedno miejsce... (2)

Jeszcze nie wiedział, jak to zrobić, wiedział natomiast jak wyjść z tej ciemnej pieczary bezczynności. W jego wieku nie było to łatwe. Gdyby miał teraz dwadzieścia lat, sprawa przedstawiałaby się zupełnie inaczej. Ale młodość też bywa czasami okrutna. Osobiście nie chciałby wracać do swojej młodości. Przeszło, minęło w milczeniu. To jego wyłącznie wina, że opuścił tamten odległy brzeg, że przepłynął tę rzekę. Tego rodzaju pojęcie winy od czasu do czasu podtrzymywało jego rozsypaną się osobowość, choćby w sensie negatywnym. Sam tego chciał i teraz, choć była to wina przedawniona, ona podtrzymywała go na duchu. Szukał w sobie także uczucia jakiejś litości pytając się w głębi duszy, czy był go-dzien takiej litości, litości nad sobą samym.

Pewnego takiego dnia, rezygnując ze swojej naukowej wielkości, podjął pracę jako pomocnik kucharza w wielkiej restauracji pobliskiego miasta i oczywiście nie pokazał się więcej w domu swojej siostry. Z całą pewnością nie czyniła mu w duchu wyrzutów z tego powodu. W jednej chwili odszedł, jak odchodzi się w czas historyczny. Był i nie ma go. Znikły w nim nagle wszystkie opory, jakie miewał w odniesieniu do fizycznej pracy. Nigdy nie pracował fizycznie. Odwalał tę ciężką robotę przez jeden miesiąc, a kiedy zbierał trochę grosza, uciekł w świat. Po prostu wszedł w autobus z jedną plastikową torbą, w której było wszystko i nic, ruszając za swoją życiową przygodą. Myślał: mam czas, mam jeszcze długie życie i muszę z tym coś zrobić. Czy to było bohaterstwo z jego strony? Czy z wiekiem człowiek traci zdolność do przeżywania nowego, do odczuwania szczęścia, czy też bywa to jedynie przywilej młodości? Trudno to orzec teraz, po latach. Oto znów jedzie autobusem objąć nową placówkę naukową. W życiu wszystko jest pomieszaną i rozproszone. Trzeba to pozbierać, poskładać. I on to zrobił pewnego czasu. Ostrożność, nieufność, niewiara we własne siły, tak, to były i są cechy niewidomego, I on był takim ślepcem na początku. W uszach brzmiały mu słowa siostry: „To jest Ameryka, Andrew! Ameryka!”. Gdzieś znikł problem wygnania i wyobcowania. Po prostu za dużo mieścimy w sobie tych wygnań; wygnanie z

ojczyzny, wygnanie z wiary, wygnanie z prawa do buntu, z prawa bycia sobą gdziekolwiek się jest. To nasze kalectwo. Zanim wszedł na swoją drogę, miał się różnych zawodów. Roznosił reklamy, sprzedawał wielkie hale targowe, doglądał staruszków w ich bogatych domach, kopał rowy, plewił trawę w ogródkach, był wykidajką w barze, I nie on jeden. Każdy emigrant żyje jakby na planecie upiornej, kamienistej i musi zakasać rękawy, jeżeli ma kawałek zdrowia i krzepy. Musi rąbać i ciąć ten cholerny, kamienisty grunt. I musi robić jeszcze wiele innych rzeczy aby przeżyć.

CI uduchowień natrafiają tutaj na znacznie więcej przeszkód metafizycznych. Do takich wyskrobków z różnych wyższych uczelni i uniwersytetów miejscowi odnoszą się ostrożnie i nieufnie. Oni tu uczą się na zasadzie funkcjonowania oczu owada: dostrzegają jeden albo dwa szczegóły przy niemożności ogarnięcia całości. Nazywają to... wąską specjalizacją. Stąd i wąskie ich horyzonty myślowe. Szybko pojął, że jest to ich kalectwo, ale nie musiał się tym martwić. Wyczuwał z daleka takich, czy było to w knajpie, czy też na uniwersytecie, gdzie został po paru latach wykładowca. Tracili dystans do niego, chociaż usiłował później zwolnić nieco biegu. Musiał być jednak czujny, jego koledzy, także utytułowani, traktowali go jak obcą cząstkę tego samego organizmu. Kiedy jest się obcym, nie ma miejsca wówczas na przyjaźnię, sympatie i na inne wzniosłe rzeczy w stanie idealnym. Nie ma też miejsca na miłość. Dlatego został starym kawalerem. To taka dziwna nazwa mężczyzn, którzy nie są nikomu potrzebni, Przede wszystkim kobietom. Poznanie tych wszystkich spraw musi prowadzić do przemiany, jak w tej zasadzie Freuda.

Nieczęsto zresztą o tym teraz myślał, był narzeczię sobą, to znaczy naukowcem z tytułem profesorskim. To był długotrwały proces i nie przeszedł go bezboleśnie. Nie miał zamiaru odcinać się od rodziny, ale wówczas, kiedy walczył, odciął się od całej ludzkości. Napisał jeden czy dwa listy do siostry, ale były to puste słowa. Pomieściły one jednakże wszystko: zarówno jego pogardę dla niej jak i miłość. Nie odpisała mu nigdy. Zapewne zwiariowała do końca odgradzając się od świata i zakładając w tym okropnym mieszkaniu starej, czynszowej kamienicy, własny klasztor.

Tego rodzaju ucieczka, schronienie się w samym sobie, to w zasadzie jedyna możliwość uwolnienia się i przekroczenia wysokiego progu swojej nędznej egzystencji. Nazywał to naukowo... hierofania przestrzeni. Jego siostra nigdy nie była istotą naturalną. Ameryka przewróciła jej w głowie. Wtedy, przez te wszystkie długie miesiące, nie potrafiła docenić siły jego słabości. Tak zapewne musiało być z jej byłym mężem, który pewnego dnia także wzięł nogi za pas. Teraz, tkwiąc w swoim samochodzie, usiłował przypomnieć sobie jej twarz. Właśnie teraz! Cóż, będzie musiała stworzyć sobie własną filozofię samotności. Pisał zresztą o tym w jednym z listów.

Bo jedynie samotność jest prawdziwa. On to zna najlepiej. I cóż z tego?! Jest mu tak dobrze, jest mu z tym do twarzy, jak do twarzy będzie mu z obywatelstwem amerykańskim, które właśnie otrzymał. To nie jest możliwe, myślał,

uśmiechając się krzywo do własnych myśli. Oto przypomniała mu się nagle tamta, stara jak świat historia. Teraz jestem Amerykaninem polskiego pochodzenia, a wówczas? Kim był wtedy? Śniła mu się ziemia, woda, chmury, słońce. Śniło mu się powietrze, ale nigdy nie śniło mu się tamto życie. Zapewne wspomnienia z tamtych lat nie znalazły jeszcze drogi do jego snu. Wszystko potrafił sobie wytłumaczyć. To łatwiejsze niż zmienić własną skórę. Ale on to zrobił. Właśnie tego dnia. Tego dnia, tamtego dnia, wczoraj, dzisiaj, czy ma to jakies znaczenie? Każdy nowy dzień na obczyźnie jest zdradą, każdy nowy oddech jest zdradą. Czy z tego powodu niebo spadnie nam na głowę?

Nie był w te drzwi pięściami, upomnieli się sami o niego. Bywa, że po paru miesiącach zapomina się twarzy kogoś bliskiego, jak stało się to z jego siostrą, tymczasem oni po paru latach przypomnieli sobie, że istnieje jakiś tam Polak, naukowiec nazwiskiem Wala i zaraz proponują mu obywatelstwo. Zanim tam pojechał, postanowił raz jeszcze wszystko do przemyśleć, jeszcze raz sobie to uprzytomnić. Czy to jest możliwe, żeby się na to zgodził? Do dziejów swojej tu bytności będzie musiał dopisać jeszcze to... będzie pełną gębą Amerykaninem! Kiedyś stało to przed nim jak góra. Może wtedy myślał poważnie na ten temat: Amerykanin polskiego pochodzenia. Czy zmieni to jego życie? A jak będą patrzeć na niego ci wszyscy z uniwersytetu, jego studenci nade wszystko? Czy w ten sposób położy kamień nagrobny na tym, co nazywa się... Polska? Czy rozdzielać nas będzie teraz to jedno słowo, uścisk ręki, każdy nowy oddech, dzień i noc? Obszary rozłąki... Ile to razy w swoim życiu musiał je pokonywać... Sind Sie ein Pole? To także pamięta. Urzędnik miał na sobie brunatny mundur i bacznie obserwował stojącego przed biurkiem wymizerowanego mężczyznę. To był on przed wielu, wielu laty. Z wymuszonym spokojem jeszcze raz zadał pytanie: „Also, Herr Wala, wer sind Sie, ein Pole oder ein Deutsche? Poruszył bezgłośnie wargami, odchrząknął, jakby pokonując coś w sobie, jakąś cholerną tamę, odparł cichym ale stanowczym głosem: „Ich bin ein Schlessier”. Głos Niemca przeciął powietrze jak szpicruta: „Herr Wala! Es gibt kaine Schlessier, sind Sie ein Deutsche?!” Pamiętał, że czoło miał zroszone potem, a głos zduszony, ale nadal uparty i zdecydowany: „Ich bin ein Pole!”. Urzędnik wściekł się, jego głos zabrzmiał donośnym echem pod wysokim sufitem gabinetu: „Herr Wala, denken Sie halb stunde und kommen Sie dann zurück zu mir! Und jetzt gehen Sie Weg! Weege!!!”.

Mówiąc to, wykonał stanowczy gest ręką w stronę drzwi, unosząc się z przepastnego fotela. Miał potężną zwalistą sylwetkę. Wysunął się niezgrabnie za drzwi na korytarz, mając ciągle przed oczami postać tego draba.

Był szary na twarzy, kiedy zobaczył siebie w lustrze. Czekała tam na niego siostra. Powiedział jej tylko to: „Stasiu... oni chcą ode mnie, żebyśmy się zaparł, chcą wymusić na mnie... mam zdecydować się przez pół godziny...”.

(Dokończenie na stronie 22)